

NR INDEKSU 374776
PL. ISSN 0137-8287

rodzina

NR 2
(1577)
1995

MIESIĘCZNIK KATOLICKI • LUTY 1995 • CENA 70 gr (7000 ZŁ)



„Ja jestem Światłością świata”

Święto Oczyszczenia Najświętszej Maryi Panny, czyli Matki Boskiej Gromnicznej przypada czterdziestego dnia po Bożym Narodzeniu. Jest to pamiątka Ofiarowania Pana Jezusa w świątyni jerozolimskiej. W tym dniu Kościół przypomina, że Pan Jezus jest Światłością świata i poświęca woskowe świece, które przeniesione do domów, wyobrażają przejście przez życie z Jezusem.

„A żył w Jerozolimie człowiek, imieniem Symeon. Był to człowiek sprawiedliwy i pobożny, wyczekiwał pociechy Izraela, a Duch Święty spoczywał na nim (...). Za natchnieniem więc Ducha przyszedł do świątyni. A gdy Rodzice wnosili Dzieciątka Jezus, aby postąpić z Nim według zwyczaju Prawa, on wziął je w objęcia, błogosławił Boga i mówił: *Teraz o Władco, pozwól odejść słudze Twemu w pokoju, według Twojego słowa. Bo moje oczy ujrzaly Twoje zbawienie, któreś przygotował wobec wszystkich narodów: światło na oświecenie pogan i chwałę ludu Twego, Izraela*” (Łk 2, 25-32).

Ten fragment Ewangelii, który odczytuje kapłan w dniu 2 lutego, w święto Matki Bożej Gromnicznej, mówi nam o spotkaniu Symeona ze swoim Zbawcą, Jezusem Chrystusem. Mogło dojść do tego spotkania, gdyż jak mówi Ewangelista, Symeon „był to człowiek sprawiedliwy i pobożny, wyczekiwał pociechy Izraela, a Duch Święty spoczywał na nim”. W tych słowach św. Łukasz zamknął warunki, jakie powinniśmy spełnić, aby mogło dojść do spotkania z Chrystusem. A więc przede wszystkim powinniśmy kochać Boga i ludzi. Miłość do Boga daje nam prawdziwą pobożność i prowadzi do zbawienia. Symeonowi wystarczyło samo zobaczenie Boga, aby wyzwolić z jego serca radosne westchnienie: „Teraz Boe pozwól odejść słudze Twemu w pokoju (...). Bo moje oczy ujrzaly Twoje zbawienie, któreś przygotował wobec wszystkich narodów: światło na oświecenie pogan”. Symeon wyraża tu powszechność zbawienia, które obejmuje wszystkie narody. Symbol światłości oznacza Mesjasza, który objawi narodom prawdziwą wiarę.

Św. Paweł w swych listach często posługiwał się porównaniem Boga i Światłości. „Bóg, Ten, który rozkazał ciemnościom, by zajaśniały światłem, zabłysnął w naszych sercach, by olśnić nas jasnością chwały Bożej na obliczu Chrystusa” (2 Kor 4, 6). Bóg stworzył światło przy stworzeniu świata, świeci ono na obliczu Chrystusa i jest jasnością każdego wierzącego. Chrystus jest w swym majestacie „obrazem Boga”, słowo jest „blaskiem Ewangelii majestatu Chrystusa” (2 Kor 4, 4). Chrystus jest dniem (Rz 13, 12). W słowie i sakramencie Chrystus jaśnieje jako światło (Ef 5, 14). Ci, którzy niegdyś byli ciemnością, teraz są „światłością w Panu” (Ef 5, 8). Boski dar światła czyni wierzących światłem. „Wszyscy wy bowiem jesteście synami światłości i synami dnia” (1 Tes 5, 5). Chrześcijanie winni świecić „jako źródło światła w świecie” (Flp 2, 15). Obietnica jest „uczestnictwem w dziele świętych w światłości” (Kol 1, 12).

Św. Jan rozwija i pogłębia teologię światła. Apostoł odwołuje się tu nie tylko do Starego Testamentu, ale także do pojęć i formuł gnozy. Prze-



ciwieństwo między światłem a ciemnością jest jednak w gnozie mitologicznym dualizmem stworzenia, natomiast u św. Jana istnieje dualizm między wiarą i niewiarą, a więc dualizm moralny. Według prologu Ewangelii św. Jana — Chrystus był i jest Logosem, światłem i życiem ludzi. Światło jest siłą życia. „Prawdziwa światłość, która oświeca każdego człowieka, przyszła (w Chrystusie) na świat” (J 1, 9). Chrystus sam mówi: „Ja jestem światłością świata. Kto idzie za Mną, nie będzie chodził w ciemnościach, lecz będzie miał światło życia” (J 8, 12). Chrystus jest światłem i daje światło. Uzdrawienie symbolicznie ujawnia, że Chrystus jest „światłością świata” (J 9, 5). Objawienie Chrystusa oświeciło świat. Dopiero dzięki objawieniu człowiek rozumie także siebie samego. „Ja przyszedłem na świat jako światło, aby każdy, kto we Mnie wierzy, nie pozostawał w ciemności” (J 12, 46). Wszyscy, którzy uwierzyli w Jezusa Chrystusa także są światłem w świecie i dla świata. „Wiercie w światłość, abyście byli synami światłości” (J 12, 36). Ponieważ światło jest identyczne z prawdą (1 J 1, 6), a prawda to rzeczywistość Boga dostępna nam dzięki Objawieniu, stąd przez wiarę można osiągnąć światło. Prawdziwe światło przyszło na świat wraz z przyjściem Chrystusa; On dał nam możliwość przyjęcia nowego życia. Chrześcijanie powinni przyjąć światłość i w niej trwać, a czynią to wtedy, gdy trwają w miłości. „Kto miłuje swego brata, ten trwa w światłości (...). Kto zaś swojego brata nienawidzi — żyje w ciemności” (1 J 2, 10).

Na okładce:

Gotycka Madonna (XV w. — kopia) w kościele starokatolickim w Karlsruhe (Niemcy).
Polskie krajobrazy w zimowej szacie



W rocznicę
śmierci

Biskupa Franciszka Hodura

W dniu 16 lutego 1953 roku zmarł bp Franciszek Hodur, organizator Polskiego Narodowego Kościoła Katolickiego, wielki reformator, humanista i patriota, który całe życie poświęcił trosce o zachowanie nauki Jezusa Chrystusa.

Bp Franciszek Hodur urodził się 1 kwietnia 1866 roku we wsi Żarki koło Chrzanowa. Po ukończeniu szkoły podstawowej i gimnazjum św. Anny w Krakowie, w roku 1889 wstąpił do Wyższego Seminarium Duchownego w Krakowie. Franciszek Hodur uczęszczał na wykłady do *Collegium Novum* Uniwersytetu Jagiellońskiego oraz do Księży Misjonarzy na Stradomiu. Po zaliczeniu trzech lat studiów teologicznych i przyjęciu niższych święceń kapłańskich w Krakowie, kleryk Franciszek Hodur wyjechał do USA i tam otrzymał święcenia kapłańskie.

Ks. Franciszek Hodur wkrótce przekonał się, że na obczyźnie także panują niesprawiedliwe stosunki. Zrozumiał, iż polski lud powinien otrzymać należne mu prawa, a wolność i niepodległość, której pragnęli Polacy, powinna objąć nie tylko polskie ziemie, ale i polską duszę. Gdy więc został wezwany przez Polaków ze Scranton, którzy w konflikcie z irlandzkimi i niemieckimi biskupami domagali się swoich praw, przybył natychmiast i stanął po ich stronie. Pomimo wielu prób rozwiązania tego konfliktu, Rzym odrzucał petycję Polaków, twierdząc, że „Stolica Święta nie będzie ustanawiała osobnych praw ani osobnych biskupów dla garści katolików polskiego pochodzenia w Ameryce, skazanej na niezawodne wynarodowienie pośród kultu-

ralnego i bogatego otoczenia”.

W dniu 18 września 1898 roku scrantonianie zapoznali się z decyzją Rzymu i postanowili wówczas nie wracać pod jurysdykcję biskupów rzymskokatolickich, lecz „oddać się z głęboką a mocną wiarą pod opiekę Bożą”. We wrześniu 1904 roku odbył się I Synod Generalny w Scranton, który wybrał ks. Franciszka Hodura na biskupa. Uroczystość konsekracji odbyła się w dniu 29 września 1907 roku w katedrze starokatolickiej pw. św. Gertrudy w Utrechcie.

Po odzyskaniu niepodległości przez Polskę w roku 1918, bp Franciszek Hodur — pierwszy biskup Polskiego Narodowego Kościoła Katolickiego w USA — podjął próbę zbadania możliwości pracy misyjnej w Polsce. Jak wiadomo, u podstaw programu PNKK legło hasło służenia Ojczyźnie; było to wyrazem gorącego patriotyzmu i głębokiej świadomości imigrantów polskich. Bp Franciszek Hodur od samego początku myślał o zorganizowaniu PNKK w Polsce. W tym celu przyjeżdżał do Galicji w latach 1910-1914. Jednak bardziej systematyczne i skuteczne zajęcie się tą sprawą mogło nastąpić dopiero po ugruntowaniu się fundamentów PNKK w USA i odzyskaniu niepodległości przez Polskę. W grudniu 1919 r. przyjechał do Krakowa ks. B. Krupski (+ 1936 r.), którego zadaniem było zbadanie możliwości pracy misyjnej w Polsce. Z upoważnienia Rady Głównej PNKK i Polskiej Narodowej „Spójni”, miał zająć się on zorganizowaniem w Polsce akcji charytatywnej. Pisał o tym w swym



Spotkanie z Maryją Gromniczną

Nic nie znaczyło Jej kroków,
a jednak przeszła,
mgła świetlna — jasna, przejrzysta,
jak welon ślubny — czysta,
Panna Przedziwna — Gromniczna.

Jasny Jej ślad pozostał w powietrzu
światłem świecy w mroku
— mleczny.

Droga świetlista, którą podąża
Stroskana,

wiedzie do Tego,

Który za nas oddał życie

w cudzie Narodzin i Zmartwychwstania,

Któremu niesie nasze prośby
i błagania.

Spotkanie z Tobą — Jasna Gromnico
to spotkanie Prawdy w wędrówce życia.
Zbłąkany znajdzie ukojenie
nosząc Obraz Niebiańskiej Pani
w duszy, serca kryjówce,
raz poznawszy Jego moc,
po stokroć będzie Mu oddany.

dokończenie na str. 10

MAŁGORZATA KĄPIŃSKA

Zarząd Główny Społecznego Towarzystwa Polskich Katolików

W dniu 10 grudnia 1994 roku odbyły się w Warszawie obrady Zarządu Głównego Społecznego Towarzystwa Polskich Katolików.

Posiedzenie otworzył prezes ZG STPK — bp prof. dr hab. Wiktor Wysoczański, który bardzo serdecznie powitał wszystkich uczestników posiedzenia. A następnie poprosił bpa Tadeusza R. Majewskiego, aby odmówił modlitwę.

Po wspólnej modlitwie, **bp Wiktor Wysoczański** — prezes ZG STPK — omówił działalność statutową Społecznego Towarzystwa Polskich Katolików oraz sytuację ekonomiczną Zakładów Przemysłowo-Ustugowych „Polkat”.

Zgodnie z uchwałą XI Krajowego Zjazdu STPK, akceptującą poprawki do statutu STPK i zobowiązującą nowo wybrane władze STPK do zarejestrowania statutu przez kompetentne władze, Prezydium ZG STPK zgłosiło zmiany statutu do Sądu Wojewódzkiego w Warszawie (VII Wydział Cywilny). Po prawno-formalnych uzgodnieniach, nowy statut STPK został przyjęty i zarejestrowany w sądowym rejestrze stowarzyszeń, a następnie przesłany do każdego Oddziału STPK.

Pragniemy, aby dom im. bpa Edwarda Herzoga w Konstancinie był to ośrodkiem studiów i modlitwy. Dzięki pomocy starokatolików ze Szwajcarii, a także z Holandii — chcemy zbudować kaplicę. Po sześciu miesiącach intensywnych starań, otrzymaliśmy pozwolenie na budowę tej kaplicy, która będzie służyła Kościołowi w Polsce i innym Kościołom Unii Utrechckiej. Chcielibyśmy, aby kaplica była gotowa do października 1995 r. i mogła służyć uczestnikom obrad Międzynarodowej Konferencji Biskupów Starokatolickich, które odbędą się w dniach od 8 do 14 października 1995 r.

Niestety, sytuacja ekonomiczna „Polkat-u” w dalszym ciągu jest trudna, odczuwamy to wszyscy: STPK i Kościół. Dlatego wciąż stawiamy sobie pytania: Co dalej? Jakie istnieją możliwości ratowania zakładów upadających? Co należy zrobić, aby rozwijały się zakłady dobre; te, które dzisiaj przynoszą zysk?

W roku 1995 musimy podjąć dalsze działania zmierzające do zmiany strukturalnej ZPU „Polkat”, które pozwolą nam nie tylko przetrwać, ale także odbudować dobrą sytuację finansową firmy. Zastanawiamy się, jak najkorzystniej przeprowadzić w zakładach „Polkat-u” restrukturyzację (racjonalizację zatrudnienia), jak rozszerzyć asortyment wyrobów i dokonać powolnej zmiany profilu naszej działalności. Jesteśmy otwarci na różne propozycje, z których wybierzemy dla nas najlepsze.

Po wystąpieniu bpa Wiktora Wysoczańskiego, głos zabrali przedstawiciele Oddziałów Społecznego Towarzystwa Polskich Katolików. Poinformowali oni zebranych o działalności Towarzystwa w terenie. Przede wszystkim podkreślono pracę z dziećmi i młodzieżą oraz działalność charytatywną.

Przedstawiciel Oddziału STPK we Wrocławiu, Pan Edmund Badan, poinformował o wyborach Zarządu tego Oddziału oraz o jego działalności statutowej. A następnie szczegółowo omówił sprawę przejęcia obiektu w Świdnicy. Na polecenie

bpa W. Wysoczańskiego, do Świdnicy pojechał dyr. Włodkowski z Wrocławia, który dokonał analizy stanu technicznego budynku. Jego zdaniem, obiekt jest w bardzo złym stanie technicznym i wymaga kosztownego, kapitalnego remontu.

Bp Tadeusz R. Majewski kategorycznie sprzeciwił się przyjmowaniu tego budynku. Jego zdaniem „nie stać nas na przyjmowanie ruiny”. Po tym wystąpieniu, bp Tadeusz R. Majewski opuścił posiedzenie, ze względu na inne, pilne obowiązki.

Działalność swoich Oddziałów omówili także p. Jedynak z Huciska, ks. kanclerz Siepietowski z Krakowa, ks. dziekan Puszczynski z Zielonej Góry i ks. dziekan T. Wójtowicz z Warszawy. Oddziały realizują działalność statutową STPK, przede wszystkim przez pogłębienie wśród członków i sympatyków Towarzystwa światopoglądu chrześcijańskiego, przez umacnianie więzi wśród wyznawców i sympatyków naszego Kościoła oraz organizując spotkania z okazji świąt, rocznic i jubileuszy.

Następnie głos zabrał prezes Spółki z o.o. ZPU „Polkat” — dyr. Mieczysław Suska, który poinformował o sytuacji ekonomicznej zakładów „Polkat”. Obecnie zakłady starają się utrzymać dotychczasowy poziom produkcji, poszukując nowych kierunków produkcji. Dotychczas produkcja „Polkat-u” była ustawiona na roboty w wielkim przemyśle i w eksporcie. Wielki przemysł upadł i skończyły się roboty eksportowe. Na rynku krajowym brak jest zleceń w zakresie budowlano-montażowym oraz sprzedaży naszych wyrobów branży elektro-mechanicznej. W zakładzie w Wojcieszowie chcielibyśmy rozpocząć produkcję z drewna. W ubiegłym roku podjęliśmy produkcję płyt meblowych w Rajczy k/Żywca i przekonaliśmy się, że jest to korzystna inwestycja. Spółka w Rajczy przynosi zysk. Podobną spółkę chcemy utworzyć w Wojcieszowie; prowadzimy rozmowy z kontrahentami, którzy by wnieśli do spółki kapitał.

Z naszych analiz wynika, iż najbliższe dwa lata będą dla „Polkat-u” trudne. „Jestem jednak przekonany — powiedział dyr. M. Suska — że po tych dwóch latach przyjdą efekty. Chcielibyśmy w tym czasie zmienić dotychczasową strukturę zarządzania, aby skuteczniej wymuszała większą aktywność dyrektorów i kierownictwa zakładów. Chodzi tu o taki sposób zarządzania, który wyzwoliłby większe możliwości i sięgnął do rezerw tkwiących w przedsiębiorstwach. Wprawdzie obecne wyniki finansowe nie spełniają oczekiwań STPK, jesteśmy jednak przekonani, iż stopniowo sytuacja ta będzie się polepszała”.

Nawiązując do trudnej sytuacji finansowej „Polkat-u”, STPK i Kościoła **bp Wiktor Wysoczański** powiedział, iż zwolnione przez „Polkat” lokale przy ul. Wilczej, których powierzchnia wynosi ponad 1100 m² mogłyby zapewnić środki potrzebne do utrzymania księży, gdyby zostały korzystnie wynajęte. Zgodnie z obowiązującym prawem, sprawą tą powinny się zająć kompetentne władze Kościoła. Zdaniem bpa W. Wysoczańskiego, nie należy sprzedawać tych lokali, ale szukać jak najkorzystniejszych możliwości ich wynajęcia.

Na zakończenie obrad, członkowie Zarządu Głównego jednogłośnie podjęli uchwały, w których przyjęły informacje Prezesa ZG STPK, Prezesa Spółki ZPU „Polkat” oraz zobowiązali Prezydium ZG STPK do aktywnego uczestnictwa w rozwiązywaniu problemów, przed którymi dzisiaj staje STPK i Kościół.

„Bóg dał każdemu człowiekowi możliwość
uszcześliwiania innych!”

(Phil Bosmans)

OSAMOTNIONY CZŁOWIEKU!

*Żyjemy w czasach chaosu ideowo-moralnego
i nieuporządkowanego bytu materialnego.*

*Jeżeli czujesz się zagrożony, upokorzony przez życie,
opuszczony przez bliskich i przyjaciół,
zmęczony życiem*

*i tracisz nadzieję na jakąkolwiek poprawę —
napisz na adres:*

**DUSZPASTERSTWO OSAMOTNIONYCH
UL. 17 STYCZNIA nr 23
64-100 LESZNO**

Opisz swoje problemy. Podziel się z nami kłopotami i troskami.
Nie załamuj się. Może wspólnie uda nam się zaradzić Twoim
problemom — wyciszyć ból i upokorzenie, poprawić
Twoje samopoczucie.

DUSZPASTERZ



Specjalistyczny Ośrodek Szkolno-Wychowawczy przy Szpitalu dla Dzieci Niepełnosprawnych „Górka” w Busku Zdroju współdziała już od wielu lat z miejscowym sanatorium wojskowym, które ustawicznie niesie pomoc finansową i leczniczą małym pensjonariuszom.

Historia Szpitala „Górka” sięga 1918 r., kiedy to lekarz Zagłębia Dąbrowskiego — Szymon Starkiewicz — rozpoczął starania o powołanie w Busku do życia sanatorium dla dzieci chorych na gruźlicę kostno-stawową. W cztery lata później położono kamień węgielny pod pierwsze

poprzedników dzieło i utrzymuje stałe kontakty z 21 Wojskowym Szpitalem Uzdrawiskowym w Busku, ku pożytkowi przede wszystkim dzieciom „Górki”. Przynależność do grupy, możliwość uczenia się, rozwoju i przeżywania, to potrzeby, które dzieci niepełnosprawne odczuwają w stopniu nie mniejszym niż zdrowe — konstatuje dyr. Dobrowolski — zatem otworzmy przed nimi życie.

Inicjatorką, która zapoczątkowała dobroczynną akcję zbiórki pieniężnej dla tych dzieci w 1991 r. była kuracjuszka szpitala wojskowego Stanisława Bogusz z Bydgoszczy. Przez te parę lat wielu ludzi

Funkcjonuje tu szkoła podstawowa normalna z dziećmi w pełni sprawnymi (normalnymi umysłowo), szkoła specjalna, w której są klasy integracyjne z dziećmi normalnymi i upośledzonymi umysłowo oraz przedszkole specjalne. Aby zgłogodzić tęsknotę za domem rodzinnym, matki z pobliskich okolic przebywają cały dzień razem ze swoimi dziećmi i pod fachowym okiem nauczycieli uczą je ćwiczeń rehabilitacyjnych i logopedycznych.

Rolę opiekuńczo-wychowawczą sprawują wysokokwalifikowani nauczyciele. Dyrektora szkoły, mgr Zofia Gawrońska, z satysfakcją twierdzi, że ludzie, którymi

Z pomocą dzieciom niepełnosprawnym

w Polsce sanatorium dziecięce, którego budowa trwała do 1926 r. Niemniej już w 1920 r., nie czekając na ukończenie budowy sanatorium, założenie tego szlachetnego zamiaru realizowano w sześciu Bessemerowskich namiotach, otrzymanych w darze od amerykańskiego Czerwonego Krzyża, a następnie — leczono chore dzieci w barakach. W 1924 r. dyrektorem sanatorium „Górka” — Dziecięca Kolonia Lecznicza im. dr med. rektora J. Brudzińskiego przy Zdroju w Busku został dr Starkiewicz, piastując tę funkcję aż do 1949 r.

Od 1955 r., kiedy to na stanowisko dyrektora „Górki” przybył dr Franciszek Jaksewicz, następuje dalszy, wyraźnie korzystny etap rozwoju sanatorium dziecięcego. Wówczas w sanatorium uruchomiono blok operacyjny i rozpoczęły się — z różnych dziedzin — specjalistyczne zabiegi. Po jego śmierci obowiązki dyrektora pełnili kolejno dr Chrostowska i dr J. Przybylik, natomiast w roku 1969 stanowisko to objął doc. dr med. Tomasz Goryński, chirurg-ortopeda. Nadał on nowy kierunek pracy na „Górcę”. Sanatorium zostało przemianowane na Szpital Kompleksowej Rehabilitacji „Górka” im. dr. Szymona Starkiewicza. Doc. Goryński był gorącym zwolennikiem realizowania idei założyciela „Górki”, a sprawy dziecka przewlekle chorego stanowiły dla niego nadrzędny cel życia. Za swą zaangażowaną działalność leczniczą był odznaczony Krzyżem Komandorskim i Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski oraz Sztandarem Pracy II Klasy RP. Zmarł 6 sierpnia 1988 r., pełniąc funkcję dyrektora naukowego. Teraz jego imię nosi Przedszkole nr 1 w Busku.

Obecny dyrektor szpitala Janusz Dobrowolski, lekarz ortopeda, z powodzeniem kontynuuje rozpoczęte przez swych

dobrej woli, przebywających na leczeniu w 21 WSzU, angażuje się w tę humanitarną akcję niesienia pomocy małym pensjonariuszom z „Górki”. Lista ich jest niezmiernie długa i ciągle rośnie, niepodobna zatem wymienić tu wszystkich, toteż ograniczymy się do podania nazwisk niektórych tylko z nich, takich m.in., jak: mjr w st. spocz. lek. pediatra M. Hirst, ktp. rez. Ryszard Koper, Danuta Lis, Małgorzata Marciniak i Bogumiła Smółko.

W Specjalistycznym Ośrodku Szkolno-Wychowawczym „Górka” przebywa rotacyjnie przez okres 3-6 miesięcy średnio ponad dwieście dzieci z całego kraju, utrzymywanych z budżetu państwa.

kieruje, nie tylko są bardzo dobrze przygotowani, ze względu na wykształcenie specjalistyczne, do wykonywania odpowiedzialnych zadań, ale wkładają wiele serca w sprawy swych podopiecznych. Tak np. mgr Elżbieta Siemek, która ukończyła pedagogikę specjalną na WSP w Kielcach, oprócz programowych zajęć prowadzi z urozmaiconym repertuarem dziecięcy zespół artystyczny, a mgr Barbara Karpińska szkołę życia z dziećmi o stopniu umiarkowanym i znacznym upośledzeniu umysłowym, ucząc jednocześnie geografii i matematyki. Dużo osobitego czasu — poza normatywnym wymiarem godzin — poświęca dzieciom wychowczyni mgr Elżbieta Kosińska,



Dyrektor Szpitala „Górka” lek. med. Janusz Dobrowolski wręcza kwiaty w imieniu dzieci niepełnosprawnych przedstawiciele Szpitala Wojskowego z okazji Dnia Kobiet



Od lewej: ppłk lek. med. Bernard Solecki, mgr Barbara Karpińska (nauczycielka) z „Górki” i kuracjuszka Szpitala Wojskowego Bogumiła Smółko ze Szczecina (czołówek aktywu dobroczynnego na rzecz dzieci)

dlatego kochają one bardzo swoją panią.

Działający w szkole samorząd uczniowski prowadzi na bieżąco kronikę wydarzeń; wydawany jest także własny miesięcznik pt. „Gipsik”, którym kieruje redaktor naczelna nauczycielka Elżbieta Pawelec, a funkcję redaktorów spełniają Katarzyna Drabnik i Marta Pronobis, uczennice klas starszych szkoły podstawowej. Dzieci zespołowi redakcyjnemu dzieci bezosobnie z „Gipsika” wiedzą dokładnie co się u nich dzieje.

Godzi się w tym miejscu zauważyć, że za sprawą ppłk. w st. spocz. mgr Stanisława Tołodzieckiego z Warszawy, przebywającego od wielu lat dość często na leczeniu w 21 WSzU, amatora artysty, grafika — rysownika, którego hobby jest malowanie ekslibrisów, również dzieci „Górki” niemato zyskują, zwłaszcza w aspekcie psychologicznym, chociaż materialny też nie pozostaje bez znaczenia. Wykonane przez pana Tołodzieckiego w ilości 15 sztuk ekslibrisy są z kolei rozlosowywane wśród kuracjuszy — ofiarodawców i przekazywane szczęśliwcom z ich nazwiskami na pamiątkę. Niezależnie od tego w porozumieniu z komendą szpitala wojskowego organizowane są przez kuracjuszy okolicznościowe wystawy i kąciki sprzedaży ekslibrisów, a uzyskany w ten sposób dochód każdorazowo w kwocie kilkuset tysięcy złotych przeznaczany jest dla dzieci niepełnosprawnych. Podobne przedsięwzięcia wraz ze sprzedażą książek, ppłk Tołodziecki ma zamiar zorganizować w wydawnictwie wojskowym Bellona i uzyskane stąd pieniądze przekazać dla dzieci „Górki”.

Przypomnijmy jeszcze, że kuracjusze i lekarze 21 WSzU spotykają się z niepełnosprawnymi dziećmi zarówno wtedy, kiedy przekazują w danym turnusie zebrane dary, jak i goszczą na „Górcie” z okazji świąt religijnych oraz państwowych i wojskowych, a także w Dniu Dziecka, w Dniu Święta Kobiet, w Dniu Nauczyciela itp.

Pod koniec 1994 r., kiedy byłem na leczeniu sanatoryjnym, dzięki inicjatywie kuracjuszy 21 Wojskowej Szpitala Uzdrowiskowego w Busku Zdroju i za aprobatą Komendy Szpitala przeprowadzono kolejną zbiórkę pieniędzy pod hasłem: „Dar serca” dla dzieci niepełnosprawnych przebywających na leczeniu w Specjalistycznym Ośrodku Szkolno-Wychowawczym przy Szpitalu „Górka”. Szczególne zaangażowanie w tę akcję wykazali kuracjusze Henryka Andrejczuk, Maria Lorenc i Stefania Walewska z Warszawy oraz Janina Wodejko z Wrocławia i Szymon Bortkun z Gdyni.

W ciągu niespełna dwóch dni zebrano w turnusie grudniowo-styczeniowym od kuracjuszy resortu MON 4.765.000 złotych. Pieniądze te przekazane zostały dyrekcji szpitala „Górka” na zakup sprzętu radiowo-telewizyjnego i pomocy naukowo-dydaktycznych.

Mali pensjonariusze „Górki” wyjątkowo serdecznie powitali w swoich progach kilkudziesięcioposobową delegację ze Szpitala Wojskowego na czele z ppłk. lek. med. Bernardem Soleckim. Jakże wzruszający był moment, kiedy Małgorzata Kalinowska z Hajnówki, mała dziewczynka na wózku inwalidzkim, wraz z grupą swoich koleżanek i kolegów, witając niecodziennych gości,

oznajmiła: „za ten dar serca niech nam żyją sto lat”. Następnie dzieci pod kierownictwem mgr Elżbiety Siemek zaprezentowały przygotowany specjalnie na tę okazję program artystyczny. Śpiewano piosenki i kolędy, deklamowano wiersze, „tańczono” wspólnie z gośćmi. Był Święty Mikołaj i choinka. Były uściski, przytulenia i pocałunki, łyż radości i swobodne, przeciągające się w czasie szczere rozmowy. Dzieci wręczyły gościom wykonane własnoręcznie na kartonikach życzenia świąteczne i noworoczne z dedykacją „serce za serce”. Swoją wizytę u dzieci goście udokumentowali wpisem do księgi pamiątkowej. To miłe i ze wszechmiar pożyteczne spotkanie na długo pozostanie w pamięci i tych małych, i tych dorosłych kuracjuszy.

Również z głębi serca płynące słowa podziękowania wyraziły dyrektor szkoły podstawowej mgr Zofia Gawrońska przypominając, że dzięki akcji „Dar Serca” dzieci niepełnosprawne mają wyposażone sale w dwa kolorowe telewizory, odtwarzacz magnetowidowy, komputer Commodore 64 do gier i zabaw, komputer IBMs x 384, kserokopiarkę „Toshiba”, radiomagneton, różnego rodzaju zabawki, podręczniki, lekturzy szkolne itp. — wszystko na ogólną kwotę 110 milionów złotych. Ponadto specjaliści Wojskowego Szpitala udzielają pomocy medycznej niepełnosprawnym dzieciom.

Chcemy przynajmniej częściowo zrekomensować szczupłe fundusze finansowe przeznaczone z budżetu państwa na leczenie dzieci tak mocno skrzywdzonych przez los, to szlachetne przedsięwzięcie kontynuowane będzie nadal — skonstatował na zakończenie imprezy ppłk Solecki.

— Bardzo liczę na wojsko i wierzę w to, co dla nas uczyniono — powiedziała dyrektor Gawrońska — ten patronat jest spełnieniem naszych marzeń. Jestem głęboko przekonana, że gest ten ma, oprócz materialnego, wielki wymiar moralny, a poza tym wiąże się ściśle z listem papieża skierowanym do dzieci w Roku Rodziny. Chciałabym gorąco podziękować komendantowi ppłk. dr. med. Jerzemu Szafrancowi, lekarzom oraz kuracjuszom 21 WSzU za ten prawdziwy dar serca.

Warto jeszcze dodać, że ksiądz Marek Podyma z miejscowej parafii prowadzi lekcje religii w Ośrodku Szkolno-Wychowawczym „Górki” oraz sprawuje, wraz z siostrami zakonnymi, opiekę duszpasterską nad chorymi dziećmi.

Bronisław Getka
ul. Różana 5/25
20-538 Lublin



Kambodża: Broń, gwałty, śmierć: to życie codzienne dzieci kambodżańskich od 25 lat. Ponad połowa z dziesiątek tysięcy uciekinierów z miejsc walk to dzieci



Sarajewo: Bezpośrednie lub pośrednie ofiary konfliktu, dzieci z Sarajewa cierpią na to, co jest nazwane „traumatyzmem wojennym”: są pełne trwogi, mają trudności z oddychaniem, rysują zawsze scen z wojny, pełne krwi, trupów, zbombardowanych miast. 1/3 życia dziesięcioletków to okrutna wojna



Afganistan, Kabul: w tym oceanie gruzów dzieci są tylko częścią maszyny wojennej

LUDZIE DZIECIOM ZGOTOWALI TEN LOS...

Współczesne wojny coraz bardziej atakują ludność cywilną — a więc i dzieci. Dzieci — ofiary wścieklej nienawiści ludzi, ale też dzieci-żołnierze i dzieci-mięso armatnie. Od początku lat osiemdziesiątych od Afganistanu po Kambodżę, od Mozambiku po byłą Jugosławię, od Ruandy po Liban, półtora miliona dzieci zginęło, około sześciu milionów zostało rannych lub okaleczonych...

Dla dzieci żyjących w krajach prowadzących wojnę dzwony nieszczęścia biją trzy razy. Pierwszy raz, gdy jako ofiary konfliktów doznają zarówno ran fizycznych, jak i niezwykle ciężkich urazów psychicznych. Po raz drugi, gdy jako synowie i córki ofiar powiększają szeregi sierot lub dzieci zagubionych. Wreszcie, gdy z bronią w rękę, jako żołnierze, posłuszni swym rozkazodawcom landsknechci, zaczynają zabijać ludzi wtedy, gdy powinni jeszcze łapać motyle. Jak podaje UNICEF, 10 proc. zdobywców Kampali w Ugandzie miało mniej niż 12 lat.

Rzecznik UNICEF, Claire Brisset, wyjaśnia rolę tej organizacji we współczesnym świecie:

„UNICEF” powstał w 1946 r., aby pomóc w ożywianiu dzieci w Europie powojennej. W latach pięćdziesiątych, gdy w Europie minęły już najgorsze lata, UNICEF zwrócił swą uwagę na kraje Trzeciego Świata. Jego misją to żywić, leczyć, szczepić, kształcić dzieci i ich majątki. Świat jednak oszalał, konflikty zbrojne stawały się coraz częstsze, więc

organizacja poświęca coraz więcej uwagi działaniom mającym przynieść natychmiastową pomoc w czasie działań wojennych. (...) O ile jednak jeszcze niedawno myślano przede wszystkim o leczeniu ran i dystrybucji żywności, o tyle ostatnio, poczynając od wojny w Libanie, działacze organizacji przekonali się, że nie można odbudowywać kraju bez prawdziwego pojednania wspólnot przedtem będących w stanie wojny. UNICEF organizuje więc również kolonie dla dzieci, aby wspólnie mogły one wyżyć się wzajemnych urazów, aby nauczyły się one żyć ze sobą w pokoju. Wkrótce będzie to niezbędne również w Bośni. Wszędzie w takich miejscach konfliktów regionalnych trzeba przede wszystkim najpierw „wyleczyć głowy”.

Aby dokładniej zilustrować dramatyczne konsekwencje wojen dla dzieci, UNICEF organizuje w Caen wystawę-Memoriał na rzecz pokoju, zatytułowaną „Nigdy więcej wojen”. Przedstawione zostanie 120 zdjęć i 20 zbiorczych tablic statystyczno-informacyjnych. Podczas towarzyszących Memoriałowi dyskusji rozważane będą przede wszystkim trzy tematy: wszelkie psychiczne i fizyczne urazy spowodowane wojną, konieczność udzielania natychmiastowej pomocy przez powołane do tego organizacje oraz odbudowa życia i rehabilitacja dzieci.

**E.D.
na podst.: LE POINT 23 XII 1994 r.
WSZYSTKIE ZDJĘCIA —
LE POINT**



Mozambik: „Mięso armatnie”. 8-12 letnie dzieci, porywane przez rebeliantów, były przez nich wykorzystywane w komandach śmierci i jako zwiadowcy na polach minowych



Ruanda: Dziesiątki tysięcy dzieci błądzą po kraju. Wiele z nich widziało masakrę najbliższych i cudem uniknęło śmierci. Teraz wiedzą tylko jedno: trzeba się kryć przed dorosłymi



Palestyna: „Intifada” zastąpiła szkołę. Dla wielu z nich opóźnienia w nauce są nieodwracalne.



Liban: stracone pokolenie. W zrujnowanym kraju brakuje wszystkiego, więc również możliwości nauki. Dla wojennego pokolenia nastolatków przyszłość też rysuje się w czarnych barwach

pamiętniku: „cała Polska, wszystkie warstwy społeczne dowiedziały się o istnieniu Narodowego Kościoła, a przede wszystkim dowiedział się wieśniak i robotnik, najuboższe warstwy, że istnieje Polski Narodowy Kościół Katolicki, który niesie wyzwolenie religijne tym warstwom, które były prześladowane (...), że istnieje i idzie ku Polsce Kościół, który nie staje na przeszkodzie w podniesieniu społecznym, wychowawczym, ekonomicznym i religijnym polskiego ludu”.

Na tak przygotowany grunt przybył do Polski w **lipcu 1920 r.** bp F. Hodur, który odprawił w Krakowie pierwsze nabożeństwo w języku polskim (45 lat przed rzymskokatolickim Soborem Watykańskim II). Po powrocie do Ameryki oświadczył: „Krótki mój pobyt w Polsce utwierdził mnie w przekonaniu, że w Ojczyźnie zamorskiej powstanie wcześniej czy później Polski Narodowy Kościół (...). Ale musimy się przygotować do misji, do pracy i walki o Kościół Chrystusowy, musimy czekać na wezwanie z Polski, gotowi każdego czasu (...) do czynu. A nade wszystko musimy świecić przykładem pięknego chrześcijańskiego życia”.

Pracę misyjną kontynuował i rozwijał ks. dr A. Ptaszek (+ 1951

r.), przyjęty do Kościoła przez bpa F. Hodurę w czasie jego pobytu w Krakowie. Ks. A. Ptaszek już w sierpniu 1921 r. — przy poparciu posłów J. Stapińskiego (+ 1946 r.) i K. Czapińskiego (+ 1942 r.) — przedstawił w Ministerstwie WROIP sprawę legalizacji PNKK. O sprawności działania centrali scranтоńskiej PNKK świadczy fakt, że już w 1922 r. przybył z USA do Krakowa elekt F. Bończak (+ 1967 r.) celem objęcia misji w Polsce. Dla propagowania Polskiego Narodowego Kościoła Katolickiego założył w roku 1923 organ prasowy pt. „Polska Odrodzona”. Zorganizował też pierwsze Seminarium Duchowne w Krakowie.

A więc już w roku 1921 władze PNKK podjęły starania o legalizację działalności Kościoła w Polsce. Niestety, pomimo intensywnych starań, władze PNKK nie doczekały się uznania prawnego do roku 1939. Sytuacja ta sprzyjała prześladowaniom PNKK w okresie międzywojennym. Prześladowania duchowieństwa i wyznawców PNKK miały różny charakter. Powszechnie stosowano szykany administracyjno-policyjne, dyskryminacje towarzyskie, akcje bojówkarskie, rozpędzanie zebrań. Uniemożliwiano budowę świątyni, zdarzały się liczne wypadki ograbiania paramentów liturgicznych i demolowanie obiektów sakralnych.

Tymczasem PNKK stawał się w Polsce coraz popularniejszy. Już w 1927 r. PNKK w Polsce skupiał 22 parafie z około 50 000 wiernych.

M. Ambroży



*(...) Bóg jest pierwszą i ostatnią przyczyną wszechbytu.
Dla człowieka jest przede wszystkim Ojcem.
Bóg jest miłością.
Miłość skłania potęgę i rozum do twórczego czynu w Bogu.*

Wyłaniają się w czasie: świat, człowiek i nieprzeliczone istoty duchowe, które uszczęśliwiają się o tyle, o ile spełniają Boże zamiany.

Rozumnym istotom dał Bóg największy przejaw swej jaźni, wolną do pewnego stopnia wolę, by ich życie, czyny miały moralną wartość, by nie był człowiek, duch, na kształt mechanizmu nastawionego ręką Stwórcy, pod przymusem działającym, jak globy wirujące w przestrzeni, ale by przy pomocy sił danych sobie przez Boga urabiał sam swe przeznaczenie, swój los, swe niebo i piekło i w ten sposób przechodził ze stopnia na stopień, doskonalił się, rozwijał, aż się stanie godnym zupełnego zjednoczenia ze swoim Ojcem — Ostatecznym Celem każdego duchowego bytu.

Na drodze tej napotyka człowiek przeszkody, elementy niższego rzędu, które zaprzatają jego myśli, powodując często upadek, grzech.

Człowiek zapomina wtedy o swym istotnym przeznaczeniu, zadawała się chwilowym, doczesnym i materialnym bytem. Ustaje na drodze do wyższych przeznaczeń.

(...) Ludzkość jest jedną, wielką rodziną, a grzech popełniony przeciw jednemu z członków tej Bożej rodziny, jest grzechem przeciw całej ludzkości i Bogu. Jest grzechem wołającym o pomstę nieba.

Każdy człowiek ma obowiązki wobec Boga i bliźniego do spełnienia. Jest częścią całości.

Nad tą całością czuwa Bóg i pozyskuje człowieka miłością, a jeśli miłość zawiedzie chwilowo, groźbą, karą, cierpieniem, a potem znowu miłością i miłosierdziem. Odbiciem swego stosunku Boga do człowieka jest Jezus Chrystus, Syn Boży i Człowieczy, zesłany w najkrytyczniejszym momencie wątpliwej i cierpiącej ludzkości w tym celu, aby ją oświecić, udoskonalić, wzmocnić i uczynić szczęśliwą.

Istotą Jego religii jest ciągła ofiara, poświęcenie się Boga względem ludzi i odwrotnie, ludzi względem Ojca — Boga. Religia to trudna, najtrudniejsza ze wszystkich, bo najdoskonalsza, a wszystko co dobre, wielkie i doskonałe i Boże jest trudne. Ale trudne tylko z początku.

Gdy człowiek spojrzy w światło mocne, olśni go, aż go ból przejmie dokuczliwy, a potem przywyknie do blasku i widzi w nim wszystko lepiej i doskonalej, aniżeli przy słabym oświeceniu.

Tak się ma rzecz z religią. Trudną jest dla początkujących, bo to religia zaparcia się siebie samego, walki, czynu, ofiary, wysiłku aż do śmiertelnej agonii, to podróż w górę, to dźwiganie gigantycznych ciężarów po ziemi sypkiej, albo moczarowej, czas rozczarowań i wątpliwości... Ale tylko z początku. Bo gdy człowiek sobie przyswoi abecadło Chrystusowej religii, otworzy jej księgę i pocznie czytać kartę za kartą, przekonuje się, jak ta religia łatwa, przystępna, głęboka, wszystko ogarniająca i wszystko dająca (...).

(Fragmenty z „Pism”, t. II, bpa Fr. Hodura)



Czy my, dorośli, mamy świadomość tego, jak wygląda codzienne życie dziecka na wsi? Mam na myśli oczywiście tych dorosłych którzy mieszkają w miastach, a ich jedynym (przeważnie) kłopotem wychowawczym jest zapewnienie swemu dziecku zdrowego pożywienia. Z reguły również od dziecka, mieszkającego w mieście nie wymaga się niczego więcej poza tym, by dobrze się uczyło.

Jeżeli chcemy — choć pobieżnie — zapoznać się z sytuacją dzieci, mieszkających na wsiach, ich rozkładem dnia, ich problemami i troskami, posłuchajmy wypowiedzi niektórych z nich:

— Muszę wstać około godz. 6.00, dać jedzenie królikom i kurcom. Czasem zdążę zjeść śniadanie przed wyjściem do szkoły. Jeśli nie — pakuję sobie kilka kanapek — (*chłopiec, 9 lat*).

— Zimą mogę pospać dłużej, ale kiedy zazielenią się łąki, budzą mnie wcześniej. Muszę wtedy przed szkołą wyprowadzić na pastwisko krowy i byka — (*chłopiec, 11 lat*).

— Jak wrócę ze szkoły, to zaraz jest obiad (wracam piechotą, prawie 5 kilometrów), a po obiedzie pomagam do godziny 17.00 lub 18.00, kiedy jest taka potrzeba. Dopiero potem mogę wziąć się za odrabianie lekcji — (*chłopiec, 14 lat*).

— Ja po szkole muszę przez jakieś dwie godziny pomagać w gospodarstwie. Przyprawiam krowy z łąki, karmię króliki i zbieram jabłka dla bydła. Muszę też w tym czasie opiekować się młodszym bratem — (*dziewczynka, 10 lat*).

— Ja w ogóle nie oglądam telewizji, bo nie mam na to czasu. Mamy duże gospodarstwo, konia, pięć krów i świnię. Kiedy rodzice obrządzają, ja muszę pilnować młodszego rodzeństwa i gotować. Lekcje często robię późnym wieczorem, wcześniej nie mogę — (*dziewczynka, 11 lat*).

— Wiem, że nauka jest najważniejsza, ale szkoda mi rodziców. Oni są i tak bardzo zmęczeni, a gdyby nie moja pomoc, to już sam nie wiem — (*chłopiec, 14 lat*).

— Gdybym nie pomagała rodzicom w obejściu i w domu, oni chyba w ogóle by nie spali — (*dziewczynka, 11 lat*).

— Nie za bardzo lubię pomagać, ale wiem, że muszę. Rodziców nie stać na to, by zatrudnili kogoś do pomocy — (*chłopiec, 12 lat*).

— To, co kiedyś wydawało mi się ciężkie, teraz wydaje się lekkie. Widać, już przywykłem — (*chłopiec, 12 lat*).

DNIÓWKA

Czy przywilej dzieciństwa — zabawa i rozrywka — jest zarezerwowany tylko dla dzieci miejskich?

— Umiem i bardzo lubię jeździć traktorem. Traktuję to jako nagrodę, wyróżnienie. Dlatego najbardziej lubię czas żniw — (*chłopiec, 14 lat*).

— Lubię pole, bo lubię pracować z koniem — (*chłopiec, 10 lat*).

— Ja najbardziej lubię sianokosy. Przekręcąc siano do suszenia, grabię, układam w kopki — (*dziewczynka, 11 lat*).

Takich wypowiedzi można by mnożyć bez końca. Wynika z nich jeden niezaprzeczalny fakt — dzieci wiejskie mają pewien zakres obowiązków, i to wcale nie lekkich, którym muszą podołać na równi z nauką. Jak muszą się czuć, wiedząc, że życie mogłoby być dla nich inne? Jedną z ubiegłorocznych maturzystek, mieszkanka niewielkiej wsi w białostockiem, wyznała: „Żyję w wiecznym stresie. Kiedy pomagam rodzicom — zawalam naukę. A bardzo chcę się uczyć, moim marzeniem jest zdobycie dyplomu lekarza. Jednak bardzo Kocham też swoich rodziców — jeżeli zbyt długo siedzę nad książką — mam wyrzuty sumienia, że odżegnuję się od pomagania. Oni nawet nie chcą, nie wymagają tej pomocy ode mnie, ale sama widzę, że beze mnie nie daliby już rady podołać wszystkiemu”.

A co na to wszystko mówi dzisiejsza socjologia?

Z badań przeprowadzonych niedawno w temacie: „Budżet czasu dziecka wiejskiego a uczestnictwo w kulturze” wynika, że: „(...) nadmierne obciążenie dzieci pracą fizyczną wywołuje wiele szkód i nieprawidłowości w psychicznym i fizycznym rozwoju ich organizmów. Z wychowawczego punktu widzenia przynosi więcej zła niż pożytku. Ukazuje dzieciom ich odrębność społeczną, często wywołując może poczucie krzywdy i niesprawiedliwości społecznej. Psychiczne zmęczenie obniża ogólną aktywność młodego organizmu, wyciska trwałe piętno na psychice dziecka, w poważnym stopniu określa jego obecne i przyszłe potrzeby, dążenia i aspiracje. Praktyczna, jeśli pochłania ogromną ilość energii i zapału, wywiera ujemny wpływ na postępy dziecka w nauce, stanowi bardzo poważny czynnik determinujący niski finalny poziom jego wykształcenia. Wymienionych szkód nie może zrekompensować nabyta przez dzieci w toku pracy — wytrwałość, zaradność, pracowitość ani szacunek dla ciężkiej pracy”.

Tyle naukowcy, fachowcy tego zagadnienia. Z punktu widzenia psycho-fizycznego wpływu pracy na organizm dziecka z pewnością mają rację — od tego są przecież specjalistami. Ja chciałabym w tym miejscu zwrócić tylko uwagę na jeden aspekt sprawy, bardzo ważny — moim zdaniem — dla rodziców dzieci „miejskich”. W większości cytowanych wypowiedzi dzieci przewija się ten sam motyw: świadomość, że rodziców nie stać na wynajęcie kogoś do pracy i zapłacenie za to, oraz to, że chcą pomagać rodzicom, bo widzą, jak bardzo są oni już zmęczeni. Nie generalizując sprawy, nie przesadzając o tym, że tylko dzieci wiejskie stać na podobne rozumienie i chęć pomocy rodzicom, poleciałabym wielu „miejskim” rodzicom, by — choć raz — ulegli pokusie, i zrobili sprawdzian, rodzaj testu swojemu dziecku. Czy potrafiłoby ono — dla nich — wyrzec się czegoś, zrozumieć ich trudną sytuację finansową, czy potrafiłoby w sensowny sposób im pomóc? Tak często bowiem słyszy się wokół — zwłaszcza w miastach tych na prawdę dużych — że dzieci, których jedynym obowiązkiem jest nauka, już nie potrafią tak prawdziwie dać coś z siebie, jedynie — brać.



Tatr, doskonale widoczne na błękitnie nieba... I wokół, jak okiem sięgnąć — sama Natura, żadnego stworzenia na dwóch nogach czy czterech łapach! Ja, rasowy mieszczuch, członek ogromnego stada rozwrzeszczanych nastolatków, chodzący na koncerty „punk”, żującą gumę i pijący „Coca-colę” w barkach McDonalda — nagle rzucony w środek surowych, zimnych, całkowicie wyludnionych gór... Zgroza!

Szybko wróciłem do naszego obejścia z tego pierwszego spaceru. Obejście, jak obejście — niewielka obora, stajnia, jakiś budynek gospodarczy w kącie ogrodzenia. Między oborą a stajnią buda, przy krótej białe psisko, leniwie drapiąc się za uchem, przygląda mi się ze skrywanym zaciekawieniem. Nie wiem, czy gryzła, ale wygląda na to, że z pewnością potrafi sobie dać radę nawet z wilkiem... Wolę nie podchodzić. Ruszam do stajni, gdzie urzęduje niewielki, ale mocarnie zbudowany konik, maści kawy z mlekiem, o bielszej grzywie i ogonie. Wygląda pocziwie, jak spracowany emeryt podczas poobiedniej herbatki w ulubionym fotelu. Po sąsiedzku, w oborze, urzędują dwie krowy, wyglądające jak siostry syjamskie: obie czarno-białe, tego samego wzrostu i o tym samym rozmieszczeniu łat. Patrzą

Zapiski z ferii zimowych' 95

Jestem więc u dziadków na wsi, w górach. Niejeden z moich kumpłi skakałby z radości z tego powodu. Mnie jednak jakoś nie cieszy ten fakt, może dlatego, że oboje miałem zupełnie inne plany spędzenia tych wolnych dni. Trudno, stało się. Muszę jednak przyznać, że góry zimą wyglądają imponująco, a śniegu tu tyle, co w mieście nie uzbierałoby się chyba przez kilka lat.

Chałupka dziadków, choć z zewnątrz nie zachwyca okazałością, w środku okazuje się być całkiem przytulna i nieźle urządzona. W niewielkim pokoiku na poddaszu jest nawet kolorowy telewizor i radiomagnetofon, z których mogę korzystać do woli. Szkoda tylko, że nie zabrałem ze sobą kaset moich ulubionych kapel rockowych...

Dziadkowie okazują się być zupełnie w porządku. Nie są jeszcze tak starzy, jak mi się wydawało — a może to po prostu życie w górach zahartowało ich i utrzymuje w zdrowiu? Oboje są prości jak sosny za oknem, mają zdrowe, rumiane twarze, błękitne oczy, otoczone siateczką zmarszczek oraz — podobny, pogodny uśmiech... To, że wcale nie są zbyt rozmowni i nie narzucają mi się ze swoim towarzystwem — podoba mi się bardzo. Jakoś nie mam ochoty na czułość — może to wynika z tego, że nie bardzo się znamy, chociaż jesteśmy bliską rodziną? Teraz widzimy się zaledwie trzeci czy czwarty raz w moim życiu. Jakoś wszystkim nam widać nie było po drodze, żeby utrzymywać częstsze kontakty. Może zawinił ciągły brak czasu i ta, spora jednak, odległość? Na razie cieszę się z tego oddzielnego pokoiku, i — tłumacząc się zmęczeniem po podróży — idę na górę.

Budzę się — jak na siebie — wyjątkowo wcześnie. Dopiero ósma! Słońce zagląda do małego okienka, biel śniegu skrzy się na stokach jak złoto — poeci w taką pogodę muszą rzeczywiście czuć natchnienie! Ja jednak nie jestem poetą, jestem realistą. Muszę ubrać się, zjeść coś i wyjść rozejrzeć się wokół. Przecież nie spędzę tych ferii w pokoju, nie mając nic do roboty!

Zorientowałem się już nieco w topografii „naszej” chaty i dość sporego obejścia wraz z „dobrodziejstwem” inwentarza. Wierzę, że w gęstniejącym szybko mroku, nie bardzo mogłem dojrzeć, co właściwie rozciąga się po obu stronach dość wąskiej drogi, którą jechaliśmy... Teraz wszystko widać dokładnie, jak na dłoni: górskie hale, pokryte czystym, dziewiczym śniegiem, zbrocza, porośnięte lasami, sine szczyty



się na mnie łagodnymi, wylupiającymi oczami, przezuwając rytmicznie swoje drugie śniadanie... Te to mają życie, nie ma co!

Słyszę, że babcia dzwoni garnkami po kuchni, idę więc na śniadanie. Muszę przyznać, że górskie powietrze jest niezwykle pobudzające apetyt, a i godzina zrobiła się dosyć późna — dochodzi dziesiąta. A więc — do kuchni marsz!

Po raz pierwszy w życiu zobaczyłem na własne oczy kuchnię węglową, i nie powiem — spodobał mi się wesoły ogień, buzujący pod płytą, i rozkoszne ciepło, rozchodzące się po całej kuchni. A kuchnia — była spora, nie taka, jak w naszych blokach w mieście. Oprócz kuchni węglowej, czyli pieca — jak mówi babcia — stoi tu duży, prostokątny stół, przy którym wszyscy domownicy mogą spokojnie, razem usiąść do jedzenia. Wokół dużo szafek, stojących i wiszących, wszystkie zrobione z drewna — wygląda to jak pokój jadalny, a nie kuchnia. Na ścianach wiszą w różnych miejscach warkocze cebuli, czosnku, a na półkach — cała bateria stoików i stołczków: z przyprawami, z zapasami, przetworami... Coś niesamowitego! Stwierdzam, że babcia musi mieć ogromne samozaparcie i dużo czasu, by tego wszystkiego dokonać w ciągu lata i jesieni! U nas w domu mama czasem robi ogórki na zimę, ale już konfitury czy kompoty? Nigdy! Po prostu — nie ma na to czasu... A dzisiejsza herbata z konfiturami wiśniowymi jest taka dobra...



Babcia chyba poznaje po mojej minie, że mi smakuje, bo dokłada mi na małeńki talerzyk konfitury z innego słoiczka. Uśmiecha się przy tym i mówi:

— Jedz, chudzielcze, i zapamiętaj ten smak. Tak ci nie będzie smakowało w mieście nic, bo wszystko, co rośnie w górach a jest przetworzone w domu — ma swój niepowtarzalny, jedyny smak... — i puszcza do mnie... najprawdziwsze oko!

Później dziadek zabiera mnie na spacer w góry. Choć niezbyt mi to odpowiada, nie ośmielałam się jednak z tego wymigać. Dziadek ma w sobie coś takiego, że nie sposób mu odmówić, a i wymówić się jest trudno. Czuję też przez skórę, że — choćbym i próbował — nie mógłbym mu skłamać... To dziwne uczucie, bo nigdy w życiu nie miałem podobnego, ale dzięki niemu zaczynam patrzeć na dziadka może nie tyle z miłością, co z respektem. Po prostu — to jest gość!

Miałem rację. Dziadek to wspaniały okaz „homo”. Byliśmy w górach przez ładnych parę godzin, i — aż trudno mi i przyznać samemu przed sobą — wcale nie chciałem wracać... To coś niesamowitego — maszerować nieprzetartym szlakiem przez górskie zbocza, doliny, hale... Nikogo więcej — tylko dziadek, te wspaniałe, groźnie wyglądające góry, puszysty, skrzący się śnieg — no i, oczywiście, ja...

Rozmawialiśmy niewiele. To chyba rodzinne, nikt z naszej rodziny nie może być uważana za gadułę, i rzeczywiście nim nie jest. Ważniejsze jest zrozumienie się bez słów, wyczucie atmosfery, panującej między nami, i nawiązanie kontaktu emocjonalnego. Przyznaję się, że momentami bardziej interesował mnie dziadek niż wspaniałe widoki... Ja byłem już całkowicie „klapnięty” długim marszem, pomimo mrozu pot lał mi się z czoła jak podczas letnich upałów — a dziadek spokojnie maszerował dalej, jakby przed chwilą wyszedł z gabinetu odnowy biologicznej... Gdy odwracał się do mnie, szukałem w jego oczach kpiącego wyrazu lub czegoś w rodzaju szyderstwa — ale nic z tego. Za każdym razem jego spojrzenie było takie samo: baczne, ale w sposób naturalny, niewymuszony...

Podczas krótkiej chwili odpoczynku, przed udaniem się w drogę powrotną, dziadek — jakby mimochodem — zauważył:

— Wiesz, kiedy tak siedzisz i myślisz nie wiadomo o czym, bardzo przypominasz mi swego ojca. Zawsze wydawało mi się, że jest bardzo daleko — myślami, oczywiście, i nigdy nie próbowałem ściągnąć go na siłę bliżej, do siebie. Trzeba było wielu lat, żeby zrozumieć, że on dokładnie to samo myślał o mnie. Byliśmy od siebie na wyciągnięcie ręki, a wydawało nam się obojgu, że dzieli nas coś więcej nawet, niż te góry...

Zrobiło mi się głupio. Tata mało ze mną rozmawiał o swoim dzieciństwie, a może chciał, tylko ja nie bardzo miałem ochotę go słuchać? Przez ostatnie parę lat nigdzie wspólnie nie chodziliśmy, nie wyjeżdżaliśmy... Rozmowy dotyczyły przeważnie nauki, odpowiedzialności za czyny i takie temu podobne kawałki. A przecież kochaliśmy się, i wiedzieliśmy o tym... Dlaczego nie

potrafilismy zbliżyć się do siebie na tyle, by zrozumieć i zaakceptować się takimi, jakimi jesteśmy? Bo trzeba przyznać — czegoś, niestety, brakowało w naszym związku... Nawet wysiłki mamy w kierunku „na rzecz zbliżenia i pokoju” nie odnosiły takiego skutku, jakiego pragnęła.

I co miałem odpowiedzieć? Zresztą, dziadek chyba nie spodziewał się odpowiedzi, bo wstał, wytrzeptał spodnie ze śniegu, i ruszył powoli z powrotem. Coś mi chyba odbiło w tym momencie, bo czułem, że robi mi się go bardzo, bardzo żal. A może to nie jego żałowałem, tylko siebie samego, i tatę, i w ogóle nas wszystkich?

Dogoniłem dziadka po paru metrach, a kiedy spojrzał na mnie — po prostu się do niego uśmiechnąłem. I w tym momencie poczułem się lekki i radosny, jak chyba nigdy dotąd...

To dopiero trzeci dzień mojego pobytu w górach, u dziadków, a przytyłem chyba z dziesięć kilo. Fakt, że apetyt dopisuje mi nadzwyczajnie! To nie tylko codzienne spacerowanie z dziadkiem (bo teraz chodzimy w góry codziennie, czasem zabieramy ze sobą Łazika, tego psa dziadków) zaostrzają mi go tak, ale chyba też talent babci do różnego rodzaju wypieków... Nawet chleb babcia piecze sama, w domu, i jest — przepyszny! Muszę też przyznać, że nie wyobrażam sobie w tej chwili dnia bez wyjścia w góry, dnia bez pysznego obiadu, jedzonego razem z dziadkami w kuchni a nawet... o nieba! tych niewymuszonych, długich rozmów o wszystkim co ważne i nieważne. Nawet nie przypuszczałem, że potrafię być takim gadułą lub słuchaczem — na zmianę, w zależności od sytuacji. Cudowne są te wieczory przy piecu, przy buzującym ognisku, leniwe, bezpieczne, pełne ciepła i serca... Tyle pomagają zrozumieć, tyle uczą, tyle wymagają od wszystkich...

Jak ten czas leci! Pojutrze wracam już do domu, do wielkiego, zakurzonego, zadymionego miasta... Cieszę się, oczywiście, ale — zostawiam tu jednak kawał serca... Na jutrzejszy dzień dziadek wymyślił coś ekstra — pożegnalny kulig. Rozesłał już „wici” po całej okolicy, ma podobno zebrać się grupa kilkunastoosobowa, więc zabawa ma być niezła. Babcia przysykuje bigos i kiebaski, bo meta kuligu — ma być u nas. Ale — to jutro. Nie zapisywałem nic przez prawie półtora tygodnia — bo... nie miałem czasu. Jakoś tak przylgnąłem do codziennych „zajęć”, zwłaszcza tych wieczornych, kuchennych, że szedłem na górę spać nieprzytomny. Nie uwierzycie, jak powiem, że telewizji i radia nie tykałem przez cały czas mojego tu pobytu! Po prostu — tyle ciekawego działo się wciąż przy mnie, tak urzekło mnie piękno i czar gór, że „gadające zabawki” odstawiłem do czasu powrotu. W mieście — to zupełnie coś innego, tam trzeba być na bieżąco z tymi rzeczami, ale — tu życie kieruje się innymi prawami, a prawa ta uznałem i polubiłem. Powiem więcej — widocznie odezwała się krew moich przodków, bo po męsku zdecydowałem, że będę tu wracał tyle razy, ile tylko będę mógł. „Do korzeni” — jak śmiał się dziadek, ale wiem, czuję to prostu, że on też (jak i babcia) będzie czekał z utęsknieniem na moje przyjazdy i będzie liczył dni, dzielące nas od ponownego spotkania. Takie sprawy się po prostu wie...

Siedzę już w pociągu, wracam do domu. Dziadek, który odwiózł mnie na stację, na pożegnanie najpierw uścił mi rękę, tak po męsku, a później — po prostu wziął w ramiona i mnie, piętnastoletniego chłopca, tulił do siebie jak dziecko. A ja, po raz pierwszy od paru dobrych lat — popłakałem się jak bóbr... I najgorsze jest to, że wcale się tych swoich łez nie wstydzilem. Tak więc, koniec ferii... Teraz będę czekał na wakacje, a wtedy.... Wiecie, prawda?

„Myślę, że nie ma człowieka, który by nie zastanawiał się w jakimś momencie swojego życia nad jego sensem — pisze w swoim liście do Redakcji p. Ilona C. z Wrocławia. Po co człowiek żyje? Jaki sens ma praca albo zabawa? Ludzie widzą, że przecież w przyrodzie wszystko ma sens, a człowiek stanowi jakby część tej przyrody. Co na tego typu refleksje, czysto ludzkie, mógłby powiedzieć Duszpasterz?”

Miła Czytelniczko! W różnych okresach ludzkiego życia rodzi się pytanie: Jaki sens ma moje życie? Do niedawna jeszcze człowiek tłumaczył sens swego życia w ten sposób: ja wprawdzie odejdę, ale moja praca pozostanie dla przyszłych pokoleń. Moje dzieci i wnuki będą korzystały z jej wyników. Obecnie jednak sprawa takiego tłumaczenia trochę się skomplikowała. Człowiek bowiem posiada środki, którymi może zniszczyć całą ludzkość, jej dorobek i w ogóle cały świat. Środkiem tym jest broń atomowa. Powstaje wobec tego pytanie: jaki sens miałoby istnienie ludzi i ich wysiłek nad przebudową świata, gdyby nastąpiła katastrofa wojny atomowej na całej kuli ziemskiej? Na to pytanie znajdziemy jedyną rozsądną odpowiedź, jeśli przyjmiemy Objawienie Jezusa Chrystusa. Dzięki bowiem swojej pracy, przez swoje zmagania, a czasem i cierpienia, ludzie zmierzają nie ku własnej śmierci, lecz ku Bogu, do życia wiecznego. To właśnie Jezus Chrystus zapewnia nas, że życie nasze nie kończy się w chwili śmierci, lecz z tą chwilą dopiero zaczyna się w całej pełni. Całe nasze doczesne życie, nasza praca, wysiłek, nie tylko zapewniają nam i innym warunki do życia, lecz przygotowują nas na spotkanie z Bogiem. Objawienie Boże przyjęte z wiarą mówi nam, że przez nasz wysiłek i pracę tworzymy coś trwałego, przygotowujemy się do wiecznego życia z Bogiem. Co więcej, przyczyniamy się do tego, że inni ludzie dzięki nam mogą łatwiej łączyć się z Bogiem.

Każdy człowiek nosi w sobie wyrok śmierci od początku swego życia. Świadomość tego, że musi się umrzeć, bez wiary w życie wieczne, byłaby czymś tragicznym i wstrząsającym. Dlatego radosną nowiną są dla nas słowa Chrystusa: „Kto we Mnie wierzy, choćby i umarł, żyć będzie” (J 11, 25).

Ktoś na przykład dowiaduje się, że jest chory na raka i może żyć jeszcze najwyżej dwa lub trzy lata. Ale będą to lata pełne cierpienia i bólu nie do wytrzymania. Widzący to pytamy: Jaki sens ma takie życie? Komu przydadzą się jego cierpienia? Choremu na pewno nie dają szczęścia. Ci zaś, którzy nie wierzą w Boga, nie widzą ich sensu. Wiara jednak mówi nam, że nawet takie życie, pełne cierpienia i bólu, ma wielką wartość zarówno dla chorego, jak i dla innych ludzi. Przez swe

cierpienia człowiek włącza się w zbawczą Mękę i Śmierć Chrystusa i w ten sposób przyczynia się do zbawienia własnego i innych. W życiu ludzkim bywa wiele takich sytuacji, w których sens naszego istnienia możemy zrozumieć tylko dzięki Objawieniu Bożemu przyjętemu z wiarą. Tylko spojrzenie przez wiarę rozświetla mroki ludzkiego życia i wnosi jasny promień nadziei, że po śmierci będzie żyć z Bogiem na zawsze.

To Chrystus oświeca nas przez swoje objawienie i ukazuje drogę do Boga. Przypomina nam to obrzęd Chrztu św., gdy między czytaniem Pisma Świętego śpiewamy lub mówimy słowa Chrystusa: „Ja jestem światłością świata. Kto idzie za Mną, będzie miał światło życia”.

Tylko wiara rozświetla najtrudniejsze chwile naszego życia. Bez niej trudno byłoby nam żyć.

„Czy wiara w sny jest grzechem, czy też nie? — pyta p. Jan W. z Inowrocławia. Karty Pisma Świętego mówią o wielu realizowanych bardzo często interwencjach nadprzyrodzonych przez sen. A więc, jak to jest z tymi snami?”

Sny mogą pochodzić niekiedy od Boga. Poucza nas o tym sam Bóg w Księdze Liczb (12, 6): „Jeśli jest u was prorok, objawię mu się przez widzenie, w snach będę mówił do niego”. Dzieje Apostolskie przytaczają słowa proroka Joela (2, 28): „I stanie się w ostateczne dni (mówi Pan); Ześlę Ducha mego (...), a synowie wasi, jak i córki wasze będą prorokowali, młodzieńcy wasi widzenia mieć będą, a starcy wasi będą śnili we śnie”. Pismo Święte, tak Starego, jak i Nowego Testamentu, mówi nam, że nieraz zyszał Bóg rozmaite sny nie tylko osobom spośród narodu wybranego, ale też i poganom, jak np. sny króla asyryjskiego, wyłożone przez proroka Daniela. W Nowym Testamencie Bóg dawał ostrzeżenia we śnie Józefowi, by uciekał do Egiptu z Dzieciątkiem i Matką Jego, mędrcom, by w drodze powrotnej nie wstępowali do Heroda. Dlaczego czynił to Bóg we śnie, a nie na jawie, trudno jest tego docho-

dzić. Symboliczne sny króla faraona zostały objaśnione przez Józefa egipskiego, który przyznaje, że zaczepnął je z Objawienia Bożego, bo sam powiedział: „Azali nie Boży jest wykład?”. Podobnie i prorok Daniel, wyjaśniając znaczenie snu królowi asyryjskiemu, zastrzegł się wyrażnie, że czyni to dzięki szczególnemu objawieniu tajemnicy od Boga.

Wyjątkowe i nieliczne przypadki snów od Boga nie dają żadnej podstawy do mniemania, jakoby to była zwyczajna droga działalności Bożej lub działało się to często. Nie ma zatem sprzeczności między naukowo-przyrodniczym wyjaśnie-

niem snów i wyjątkowymi faktami z Pisma Świętego.

Co mówią badania psychologiczne o marzeniach sennych? Otóż, podczas snu, mimo że człowiek śpiący pozostaje odcięty od świata zewnętrznego, mózg jego nadal pracuje. Wprawdzie czynności kory mózgowej — od których zależy działalność naszych władz psychicznych, jak rozum, wola, uczucia — ulega pewnemu zahamowaniu podczas snu, to jednak działają one nadal, choć mniej sprawnie i prawidłowo. Stąd w marzeniach sennych brak ładu i składu, obrazy zmieniają się nagle i szybko, powstają sytuacje i zdarzenia nieprawdopodobne, a człowiek śpiący przyjmuje to bez zdziwienia i bezkrytycznie. Na treść naszych marzeń sennych składają się zazwyczaj wrażenia w naszej pamięci zachowane na jawie — i to wrażenia zarówno bardzo silne, jak i słabe, a nawet zupełnie nieuświadomione. Na rodzaj i przebieg marzeń sennych wpływa jeszcze cały szereg rozmaitych czynników, jak: hormony gruczołów dokrewnych, stan trawienia we śnie, choroby serca (stad sny dręczące), czynniki zewnętrzne, np. ciepło, zimno, światło i wiele innych. Przeważnie marzenia senna są dziwaczne i bezsensowne. Zdarzają się jednak i takie sny, podczas których umysł dokonuje naprawdę zdumiewających czynności, jak rozwiązywanie trudnego zadania matematycznego, przypomnienie sobie zapomnianej historii z dzieciństwa, które na jawie sprawiają nam wiele trudności. Jak wytłumaczyć takie zjawisko? Mówiliśmy już, nasze władze umysłowe podcza snu nie ulegają całkowitemu zawieszeniu. We śnie człowiek najczęściej wnioskuje nielogicznie i bezkrytycznie, choć może być wyjątek poprawnego i logicznego myślenia.

U osób szczególnie wrażliwych zdarzają się przypadki prawdziwych odczuć na odległość lub przecucia, co do przyszłości. Wprawdzie nauka nie umie zadowalająco wyjaśnić tych dziwnych zjawisk, to jednak jest rzeczą pewną, że zazwyczaj nie ma w nich nic cudownego lub nadprzyrodzonego.

A więc normalne senna marzenia są niczym innym, jak tylko majakami naszej wyobraźni, działającej bez kontroli woli. Jest rzeczą wprost nierozsądną przywiązywać jakieś znaczenie do snów. Czasami sny ostrzegawcze spełniają się, jak np. choroba, śmierć i można je wytłumaczyć wystarczająco przecuciem lub telepatią. Wierzyć zatem w sny i kierować się nimi jest zabobonem, a tego zabrania nam drugie przykazanie Boże. Nasze stare przysłowie zaś mówi: „Sen mara — Bóg wiara”, co należy tak rozumieć: Bardzo ostrożnie trzeba interpretować sny, a wiarę i ufność pokładać w Bogu.

**Wszystkich Czytelników serdecznie
pозdrawiam.
DUSZPASTERZ**

Siódemka pik

(16 lutego — 5 kwietnia)

Wszystkie osoby, urodzone w tym przedziale czasowym, odznaczają się dowcipem i — w ogóle — ogromnym poczuciem humoru. Są rozmowne i przyjacielskie. Za wszelką cenę pragną uniknąć w życiu sporów i nieporozumień, co jednak nie zawsze się im udaje, choć są ludźmi z gruntu uprzejmymi i życzliwie ustosunkującymi się do wszystkich. Z reguły też są urodzonymi optymistami.

Na „Siódmkach pikowych” można polegać niemalże jak „na Zawiszy”, mają ustaloną sławę prawdziwych przyjaciół i rzetelnych pracowników. Nic więc dziwnego, że zazwyczaj otoczone są gronem ludzi, spragnionych ich ciepła i życzliwości. Same jednak „Siódemki pikowe” lubią od czasu do czasu zaszyć się w ciemny, cichy kątek i samotnie podumać o życiu i o własnych sprawach.

Zawsze kierują się logiką i zdrowym rozsądkiem. Bywa, że dochodzą w życiu do znaczących sukcesów w dziedzinie nauki i zdobywają niebywałe wprost bogactwo. Rzadko kiedy jednak udaje im się majątek pomnożyć — wiele z nich ma bowiem skłonności do hazardu i ryzyka, więc równie szybko potrafią przegrać lub stracić nabyte dobra.

„Siódemki pikowe” — choć w małżeństwie są dobrymi, wiernymi partnerami — we współżyciu na co dzień potrafią się dać we znaki swoim najbliższym! Trzeba jednak przyznać, że ich złe humory szybko mijają, a później — nadchodzi „czas pogody”...

POZIOMO: A-1) udomowiony zajęc; A-8) pyszność z puszki lub z bloku; C-1) ziąb, chłód jesienny; D-7) samozwańczy uzdrowiciel; F-?) dawna nazwa jednostki mikrometr; F-10) władca Walhalli, bóg wojny i wojowników; H-1) jednostka terytorialna w Niemczech; H-6) szkapa, chabeta; K-1) równe akcjom; L-7) rzeka w b. ZSRR; N-1) zmartwienie, kłopot; N-8) zastawiana np. na myszy.

PIONOWO: 1-A) np. bzu pod oknem; 1-G) instrument dęty; 3-A) po siódmej; 3-F) wyspa na Filipinach; 5-A) jeź; 5-l) wylew kanalizacyjny; 7-B) ten od kazań; 9-A) rumor, trzask; 9-G) kraina w widłach Dunaju i Sawy, w staroż. prowincja rzymska; 11-A) obszarpaniec, szubrawiec, 11-K) nie róża, a kłuje; 13-A) niemądry je plecie; 13-l) draka, rękoczynny.

(E.L.)

Po rozwiązaniu krzyżówki należy odczytać szyfr (przystawie ludowe):

(A-8, C-1, H-8, D-12, A-12, K-2, B-7)

(H-10, M-9, A-4, C-4, G-13) (C-3, N-6)

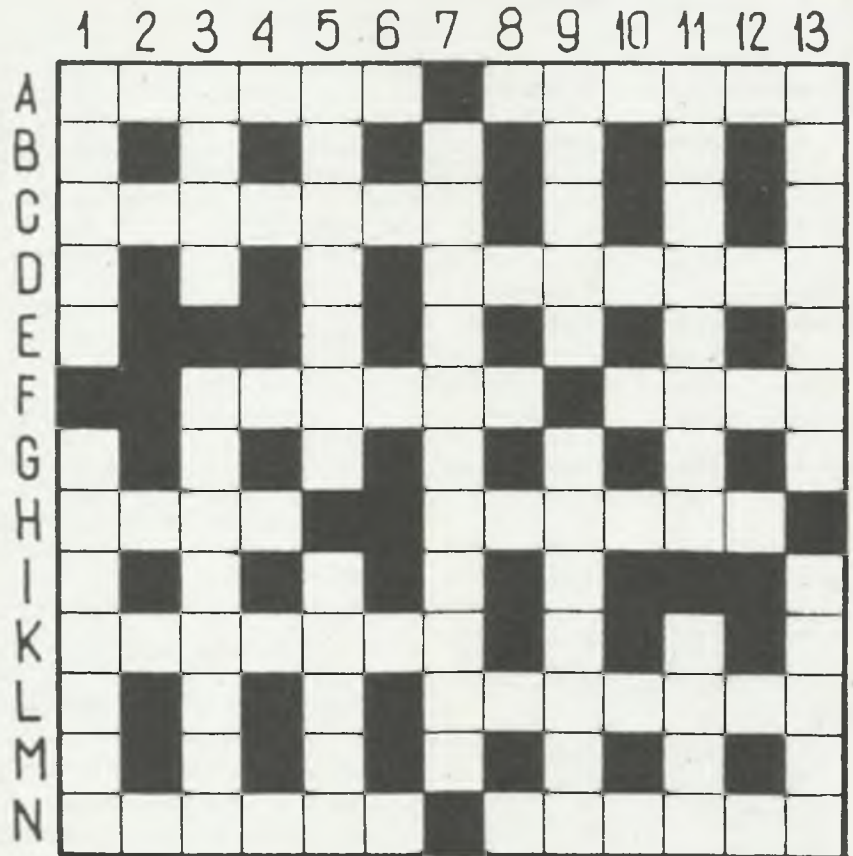
(C-1, H-2, A-12, L-11, D-7, M-5) (K-5, K-11, I-5)

(H-4, F-2) (D-7, K-1, F-2, I-13, C-5, L-8, D-8, A-5, N-9).

Rozwiązanie samego szyfru prosimy nadsyłać pod adresem Redakcji do końca miesiąca z dopiskiem na pocztówce: „Krzyżówka Nr 1”. Do wylosowania — nagrody książkowe.

Za prawidłowe rozwiązanie krzyżówki nr 12 („Nie ma nic słodsze nad światło prawdy”) nagrodę wylosowała pani Nalepa Wiesława z Krzykawki.

KRZYŻÓWKA NR 2



rodzina

MIESIĘCZNIK KATOLICKI

Wydawca: Spółeczne Towarzystwo Polskich Katolików, Instytut Wydawniczy im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego. Redaguje Kolegium. Adres redakcji i administracji: ul. Czardasza 16/18, 02-169 Warszawa, tel. 46-72-74. Wpłat na prenumeratę nie przyjmujemy. Cena prenumeraty: I półrocze — 42.000 zł. Warunki prenumeraty: 1) w miastach, w których znajdują się siedziby Przedsiębiorstwa Kolportażowo-Handlowego „Ruch” S.A. — prenumerata w tych oddziałach; — osoby zamieszkałe na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma oddziału Przedsiębiorstwa Kolportażowo-Handlowego „Ruch” S.A. opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli. Terminy przyjmowania prenumeraty: od dnia 10 listopada na I półrocze roku oraz cały rok następny; do dnia 1-go każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego. Materiałów nie zamówionych redakcja nie zwraca. Redakcja zastrzega sobie prawo skracania materiałów nie zamówionych. Druk: Zakład Poligraficzny Instytutu Wydawniczego im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego, ul. Czardasza 16/18. Zam. 4/95.

